

OKO KAMIENIA

(wokół eseju Władysława Panas)

– Ryszardowi Krynickiemu

1.

Zaczynam od cytatu, jakżeby inaczej, z Czechowicza, z wiersza *Wieniawa*, kładę go jako motto, i odtąd będę podążał ścieżkami metafor wyjętych z *Oka Cadyka* –

Z nieb czeluści otwartej na ścieżaj
biegną ciche niedźwiedzie nocy.

Nad ulicami, rzędem,
czarne, kosmate,
będą się tarzać po domach do chwili,
gdy księżyc wybuchnie z za chmur, jak krater.
Świat ku światłu przechyli.

Mowa tu o walce, którą z demonami toczy L u b l i n – Nowe Jeruzalem, jak to miasto nazywali mieszkający w nim Żydzi. Rzecz dzieje się pośród pagórów i podłęży przedmieścia. Tutaj swego czasu mieszkał caddik, mąż sprawiedliwy, rebe Jakub Icchak – Widzący, Ha-Hozeh mi-Lublin, nazywany również L u - b l i n e m. Mieszkał, zanim przeniósł się pod zamek. A przeniósł się, bo to nie

podmiejska cisza, a rejwach zatłoczonych ulic – tak, spieszno nam to powiedzieć! – jest przestrzenią mesjańską. Na razie jednak jesteśmy wciąż na Wieniawie. Jak podpowiada Czechowicz w *Poemacie o mieście Lublinie* – niegdyś „winnice opinały te wzgórza”. Wiemy, że świętobliwy reb Lubliner, „niech jego niegasnące zasługi chronią nas!”, nie stronił od wina. Nie, nie dla jego cierpkiej mocy, ale – to oczywiste! – że jest napojem mesjańskim. Wieniawa etymologicznie wiąże się z wiankami, to dlatego pojawiają się w wierszu Czechowicza, we fragmencie, który nie został tu przytoczony; wianek zaś odsyła do gestu wieńczenia, a ten kojarzyć wypada, zwłaszcza w rysującej się tu perspektywie, z koroną. Jeden z najznakomitszych uczniów Widzącego – rebe Chajim Halbersztam z Sącza, pouczył nas, a przypomina o tym Jiří Langer, że świętobliwy cadyk z Lublina –

Zamiast Bóg mówił *Krojn*, czyli korona. Ale gdy mówił *Krojn*, dreszcz przebiegał wszystkie nieba.

Dreszcz dla Czechowicza to mało. Nad Wieniawą zobaczy jaśniejący krater – wybuch księżycowego blasku. Za radą autora *Oka Cadyka* zostawiamy w dole „perłowy lampas” lamp przedmieścia. I z tej nadziemnej perspektywy widzimy obszar zalany światłem, lśniąca poświatę okrywającą – niczym płaszczem – „Blachy dachów”, które „dudnią bębniem”, gnąc się „pod mroku cichego łapą” (*Wieniawa*). Nad wzgórzem otworzyło się niebo. Nagłą kaskadę dostrzega teraz i nasze oko. Ale wiemy, że Widzący chodził w tej jasności nieustannie. A była to ta sama potężna światłość, w której rozbłysku Jedyny Święty jał kształtować rzeczy stworzone, która – powiada *Zohar* – rozbiła „ziemskie naczynia”, która jeśliby dostała się w ręce okrutnika – pisze współczesny kabalista – mogłaby „cofnąć stworzenie do pierwotnego chaosu”, i która – powtórzmy za Dawidem – „jest rozsiana” i „wschodzi dla sprawiedliwego”, dla caddikim, dla cadyka (*Psalms 97*). Ha-Hozeh mi-Lublin nosił tę poświatę w sobie i promieniał nią.

Jak przypomina Martin Buber „uczniowie, pozostając w kręgu tego blasku, czuli się tak bezpiecznie, że zapominali o wygnaniu i myśleli, że są w świątyni jerozolimskiej”. Cóż to znaczy? Powiedzmy wprost – w Lublinie, albo inaczej: w blasku Lublina jaśniało światło ery mesjańskiej! Materię tego świata przenikała łagodna poświata tamtego. Buduję ten nieporadny, wsparty na anagramach chiazm, by uczynić zeń mocną podporę, wpleść w świat światło, okryć się nim jak płaszczem – bo oto trzeba teraz powiedzieć o drugiej stronie, o przepastnej ciemności lewej strony, o sitra achra. Lublin walczy z demonami. Jest to przedsięwzięcie w najwyższym stopniu ryzykowne. A odwoływanie się w tych zmaganiach do blasku miesiąca jest szczególnie niebezpieczne. W mistyce żydowskiej, zwłaszcza w kabale, księżyc ma złą sławę. W jego poświacie zyskują na sile demony. Kiedy miesiąca ubywa, kiedy zaczyna świecić odwróconym: czarnym światłem – rośnie moc zła. Dopiero gdy przyjdzie Mesjasz, lampa nocy zajaśnieje swoim pełnym blaskiem – będzie świeciła równie mocno jak słońce. Póki co, spoglądać na nią można jedynie przelotnie, i tylko w czasie odmawiania kidusz lewana – błogosławieństwa nowiu księżyca. Nie wiemy, jak sprawował je cadyk na ulicy Szerokiej w Lublinie, ale musiał to być rytuał na tyle niezwykły i na tyle bulwersujący, że chasydzi, którzy po śmierci mistrza – rebe Szaloma, syna rabbiego Abrahama Anioła, chcieli się przyłączyć do Widzącego, zobaczywszy jak Jakub Icchak odmawia kidusz lewana – powtórzmy za Martinem Buberem – „niczego już sobie nie obiecywali po Lublinie”. Co dokładnie ich odstręczało – nie wiemy. Wiemy natomiast, że były to jakieś drobne odstępstwa, pozostające jednak w drastycznej niezgodzie z tym, co w mniemaniu chasydów, a więc „czystych” i „pobożnych” uchodziło za właściwe – a pamiętać tu trzeba, że obcy przecież byli z niezwykłością zachowań dalekich od tradycyjnej ortodoksji. W końcu zostali przy Widzącym – przekonani słowami rebe Lublina: „Cóżby to był za Bóg, gdyby mu można było służyć tylko w jeden sposób”. Widzę w tej opowieści ślad wyraźnej predylekcji cadyka z Szerokiej do ciemnego

blasku, który w niepojęty, zakryty dla naszych oczu sposób, łączy się z jasnym światłem – pomnażając jego intensywność. Ale to ciemne świedldo nie przestaje być filującym płomieniem. Jest bowiem r o z d a r t ą jasnością – jest lśnieniem ciemności, jest poświęcą lewej strony: królestwa Samaela i Lilit. *Zohar*owiada –

A teraz pódź i patrz! Owe rozdarte istoty pochodzą od Najwyższego, a równocześnie pochodzą od tego, co najniższe i dlatego nie mogą się dostosować ani do najwyższego, ani do najniższego... A wszystkie pochodzą od lewej mocy twórczej i kryją się przed oczami synów ludzkich i stają do walki z nimi.

Dla oczu Widzącego owe rozdarte istoty nie były zakryte. Toczył z nimi walkę. Widział ich filujący blask. W jego świetle nabiera szczególnego kolorytu, i szczególnego znaczenia – wyraźna i mocna skłonność rebe Jakuba do tego wszystkiego, co dwuznaczne. Do tumultu miasta. Do alkoholu. Do nocnych biesiad. Wreszcie do grzeszników. Ale tylko takich, którzy swoim grzechem potrafią się cieszyć – promienieją radością czystą, niezmaconą cieniem żalu czy skruchy. Mnożę te uwagi, by tym wyraźniej wybrzmiała siła rysującego się w Lublinie napięcia, owa odmienność drogi, którą kroczy, na której w ów bulwersujący sposób służy Bogu. Lublin walczy z demonami. Pragnie ostatecznie złamać ich moc i sprowadzić na ziemię Mesjasza. Ale świątobliwy Lublin wiedział, że to właśnie „w łapach mroku kosmatych”, jak pięknie w wierszu *Pełnia* rzecz ujmuje Staff, spoczywają nieogarnione „pustkowie” i „bezdroża” tamtej strony – świata, który nadejdzie: Olam Haba. I wiedział też zapewne, że te łapy ciemności porwą go z poddasza na Szerokiej 28 i cisną jego ciałem o ziemię.

2.

Czy *gilgul* – doktryna o wędrówce duszy, o jej tikkun – dotyczy także placu? Jeśli pamiętać, że może dotyczyć kamienia, to odpowiedź nie powinna nastę-

czać większych trudności. Zwłaszcza dziś – gdy oko cadyka jest bardziej kamienne niż kiedykolwiek. A jednak niełatwo to powiedzieć. Odpowiedź – przecież oczywista, z trudem przechodzi przez gardło. Bo jakże to? Dusza sprawiedliwego, świętobliwego cadyka, który jest ostoją świata, dzięki któremu ten świat nie obraca się w nicość, cadyka, któremu znane są sprawy zakryte, który sprowadza na ziemię boską chwałę, a zwłaszcza jej esencję – światło, dusza cadyka, który w przyszłym świecie otoczony blaskiem zasiądzie w koronie na głowie, jego dusza – odwlekam ten moment, jak umiem – a więc, dusza cadyka, który widział i nosił w sobie ów oślepiający blask, rodzaj ciemnego płomienia, promieniejący z najgłębszych ciemności, więc – trzeba to w końcu powiedzieć – dusza świętobliwego Lublina miałaby zstąpić w kamień? Wszak kamień w myśl doktryny gilgul – to piekło. Czy jesteśmy zdziwieni? Nie. Cóż bowiem innego miałoby spotkać zuchwalca, który miesza się w sprawy Boże. Wiem, niejeden cadyk pouczał Najwyższego, jak radzić sobie z tym światem, byli i tacy, co unieważniali Boskie wyroki, ale rozstrzygać o zakończeniu tikkun – o nastaniu ery mesjańskiej, o odkupieniu, o przyjściu Mesjasza! Za największy grzech – najdotkliwsza kara. Czy Widzący nie widział tego wszystkiego? Czy nie rozpoznał siebie w kamieniach na pustym placu, który został po jego mieście. Trudno w to uwierzyć. A jeśli zobaczył siebie w tych kamieniach? Dlaczego nie cofnął się przed mesjańską intrygą, skoro wiedział, że nie podoła, że żona usłyszy głos dziecka za drzwiami, że mimo zamkniętego okna ciemność wtargnie na poddasze, by go porwać? Odpowiedź jest oczywista. Nie trzeba tu cadyka. Każdy chasyd wie, że Najwyższy jest we wszystkim. I służyć można mu zawsze. Nawet – będąc kamieniem. Na tym jednak nie koniec. Mesjańska intryga Lublina nie urywa się tamtej feralnej nocy. Trwa nadal i rozgrywa się przed naszymi oczyma. Za radą autora *Oka Cadyka* raz jeszcze zmieniamy perspektywę. I oto widać Mesjasza wjeżdżającego na osiołku do Jerozolimy. Witają go tłumy. – Hosanna synowi Dawidowemu! Błogosławiony Król, który przychodzi w imię Pańskie! Ten

fragment *Psalmu 118* niesie z sobą podwójną semantykę. W hebrajskim wybrzmiewa przede wszystkim jako okrzyk grozy, natarczywa prośba: „ocal, wybaw!”, w aramejskim – w języku Jerozolimy czasów Jezusa i *Zoharu* – jest radosnym zawołaniem, wyrazem czci i uwielbienia. Na dziedzińcu Świątyni tamte okrzyki z ulic powtórzą bawiące się dzieci. Kiedy uczeni w Piśmie będą protestować – Jezus odpowie: „Czy nigdy nie czytaliście tych oto słów: Poprzez usta niemowląt i ssących przygotowałeś sobie chwałę”. Tak u Mateusza. W relacji Łukasza dzieci nie pojawiają się. Kiedy faryzeusze żądają, by Jezus uciszył tłumy – ten odpowiada: „Jeśli oni zamilkną, kamienie wołać będą”. Dziś po Szerokiej nie biegają pokrzykujące radośnie dzieci. Został plac wybrukowany kamieniami – migdałowe oko cadyka. Tak podobny do mandorli, która w iluminacjach Hildegardy z Bingen zawiera w sobie całe dzieło stworzenia, rzeczy niewidzialne i wieczne, majestat i tajemnicę Boskiego Imienia. I tak podobny do tej mandorli, która na bizantyńskich ikonach otacza Zstępującego do piekieł – Zmartwychwstałego. To właśnie w jej blasku, w świetle, które skupia – przychodzi Król. W wierszu *Mandorla* notuje Paul Celan:

W migdale – co tam tkwi w migdale?

Nic.

Nicość tkwi w migdale.

Tkwi tam i tkwi.

W nicości – kto tam tkwi? To Król.

Król tkwi tam, Król.

Tkwi tam i tkwi.

Nie będziesz siwy, żydowski kosmyku.

A twoje oko – ku czemu twoje oko tkwi?

Ku migdałowi twoje oko tkwi.

Tkwi oko twoje ku nicości.

Tkwi ku królowi.

Tak tkwi i tkwi.

Nie będziesz siwy, człowieczy kosmyku.

Pustka w migdale królewskiego błękitu.

3.

Ta myśl od lat nie dawała mi spokoju. Cadyk, światło naszych oczu – zstępujący w kamień. Strącony w obszar „wypełniony dokładnie / kamiennym sensem”. Widzę w tym ślad drogi, jaką podążał – ów bulwersujący gest świętego, który osłania sobą światło. Powiada Herbert –

Trzeba wstąpić w kamień, w drzewo, w wodę, w szpary furty. Lepiej być skrzypieniem podłogi niż przeraźliwie przeźroczystą doskonałością.

Cadyk zawsze jest postacią o wymiarze mesjańskim, zawsze bowiem może okazać się samym Mesjaszem. Jak wiadomo – w każdym pokoleniu żyje jeden sprawiedliwy, w którego wcieliła się dusza Zbawiciela. A cadyk, który zstąpił w plac? Izaak Luria uwalniał dusze uwięzione w kamieniach. W *Oku Cadyka* widzę podobny gest. Oto wołają kamienie. Oto esej o Widzącym i o widzeniu. Ale też o wzroku, który podąża za duktem druku, który biegnie za piszącą ręką, gdy ta odsłania na czystej kartce ścieżkę pisma – o wzroku, który wyprzedza ruch długopisu i zmierza tam, gdzie odsłania się ciemność, a w niej wszystko to, czego nie sposób przemilczeć, co toruje sobie drogę do widzialnego świata. Prosty i czytelny dukt pisma okazuje się w istocie labiryntem. Na każdym kroku otwierają się ścieżki wiodące w wielu kierunkach, rosną kłaczka symbolicznych struktur, piętrzą się fale metaforycznych przekształceń, niczym w ułożonym przez Szaloma Szarabiego kabalistycznym modlitewniku, gdzie nad każdym słowem widnieje odsyłacz do odpowiedniej części układu sefirot, by ten jaśniał w świadomości czytającego podczas inkantowania słów. Czytam ten przejmują-

cy esej i słyszę kamień, który śpiewa. A w śpiewie – jak wiadomo – jest Mesjasz. Nie powinna nas dziwić ta figura. Czyż nie wiemy, że „kamyk jest stworzeniem / doskonałym”, że to kamyki „do końca będą na nas patrzeć / okiem spokojnym bardzo jasnym”? I czy nie jest tak, że właśnie pośród słów odnajdujemy ten blask, co nas spowija i osłania, byśmy mogli – jak powiada Herbert, i tym cytatem kończę – „trwać w świecie niby myślący kamień / Cierpliwy obojętny i czuły zarazem”.¹

¹ Osnową szkicu jest esej Władysława Panasa poświęcony Widzącemu z Lublina – *Oko Cadyka* (Lublin 2004). Z tekstów, którymi posiłkuję się – cytując je lub nawiązując do nich – wymienić wypada przynajmniej następujące: Martina Bubera *Opowieści chasydów* (przeł., uwagami i postłowie opatrzył P. Hertz, Poznań 1989), oraz tegoż *Gog i Magog. Kronika chasydzka* (przełożył J. Garewicz, Warszawa 1999); Jiřiego Langerę *9 bram do tajemnic chasydów* (przeł. z angielskiego A. Golewska, Kraków 1987); Lawrence’a Kushnera *Miód ze skały. Wizje odnowy mistyki żydowskiej* (przeł. Z. Wiese, Poznań 1994); Konstantego Geberta „...*By się pług nie złamał*”. *Uwagi o demonologii żydowskiej* („Polska Sztuka Ludowa” 1989, nr 1-2); a także dwa wiersze Herberta: *Do Henryka Elzenberga w stulecie Jego urodzin* i *Kamyk*, oraz jego prozę poetycką: *Żeby tylko nie anioł*.